

Bohdan

PETECKI



OPERACJA
WIECZNOŚĆ

Bohdan Petecki

OPERACJA WIECZNOŚĆ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-83-0

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Iskry, Warszawa 1975

Projekt okładki: Bartek Biedrzycki

Putt uśmiechnął się.

– Co chcesz – powiedział niedbałym tonem, przeciągając samogłoski – jak tylko człowiek pomyślał o przemijaniu, zapragnął trwania...

Wzruszyłem ramionami.

– Już to gdzieś słyszałem – burknąłem. Wyprostowałem się i podszedłem do pulpitu. Nie patrząc namacałem klawisz projektora i rzuciłem na ekran schemat stacji.

– Usłyszysz jeszcze nieraz – w jego głosie zabrzmiała kpina. – To teraz hasło dnia – ciągnął. – Mówią, że niesie więcej informacji niż wszystkie inne modne slogany. A tę buchalterię – dodał, wskazując ekran z ostro zarysowaną siatką wiązań energetycznych – możesz sobie darować. Pięć lat tkwiłem w takim samym kokonie, na Phobosie.

Położył oparcie i wyciągnął nogi na całą ich długość, uderzając w podłogę podeszwami butów.

Nie ulegało wątpliwości, że jeśli o niego chodzi, mogę sobie darować niejedno. Nie tylko drobiazgowo przekazywanie aparatury i danych, dotyczących stacji. Czegóż nie było w tym: „pięć lat”! Wie, bo z tym przyleciał, że spada mi z nieba jak główna wygrana, ba, gotów jest nawet okazać pobłażanie dla odrobiny tej niewinnej próżności, która każe mi się maskować. Pięć lat, proszę. A ja nie czekałem nawet trzech, by przekazać mu bazę. Szczęściarzu!

Trzepnąłem otwartą dłońią w klawisze. Ekran zgasł jak zlany wodą. Niemal równocześnie spod podłogi dobiegł stłumiony chrobot przekaźników. Na głównym ekranie łączności podskoczyły płonące kometki. Nie musiałem patrzeć na zegar. Piąta. Jak co dzień o tej porze Ziemia penetruje zespoły pamięciowe stacji, wyłuskuje nagromadzone w ciągu doby informacje.

Bez słowa przeszedłem przez kabinę, kierując się ku gruszkowatej niszy naprzeciw wjazdu. Wyjąłem płaski pojemnik i przewróciłem go na leżankę. Kilka książek wielkości kostek do gry, trzy holografie, szczoteczka, dwa małe kamienie, obydwaj z Ziemi. Oto, co czyniło domem ten betomitowy żołędź, utkwiony w skorupie globu, dla którego Słońce było gwiazdą, jedną z wielu, nawet jeśli najjaśniejszą.

Pakowanie zajęło mi nie więcej niż trzydzieści sekund. Przerzuciłem plecak przez lewe ramię i zawróciłem w stronę śluzy. W połowie kabiny dobiegł mnie głos Putta:

– Lecisz?

Nie zatrzymałem się. Usłyszałem charakterystyczny syk zwolnionego oparcia i kroki. Zaświtało mu, że coś jest nie tak, jak powinno.

– Nie martw się – mruknąłem. – Wrócę.

Dotarłem do drzwi i uruchomiłem automat klapy. Nie zdejmując dłoni z uchwytu, odwróciłem się. Stał pośrodku kabiny z rękami opuszczonymi wzdłuż bioder.

Przyjrzałem mu się. Może odrobinę dłużej, niż było trzeba.

– Lecisz – powtórzył.

– Do widzenia – rzuciłem. – Powiedziałem, że wrócę. Ale to nieważne, co? Tak czy owak musimy się spotkać. Rachunek prawdopodobieństwa. „Ciała, krążące przez całą wieczność w ograniczonej przestrzeni...”

– O co chodzi, Dan? – przerwał. – Coś nie w porządku? Chciałeś zostać? Jeśli tak, sam im to powiesz. Mnie nikt nie pytał o zdanie...

Nie był ze mnie zadowolony. Trudno się dziwić. Sprawilem mu zawód.

– W porządku, Putt – powiedziałem. – „Przygotuj się na niespodziankę” – zacytowałem. – Od tego zacząłeś, jak tylko wylazłeś z rakiety. Godzinę... nie, już przeszło półtorej temu. Dość, jak na to, co mieliśmy sobie do powiedzenia. Pierwsze polemiki ukazały

się, o ile pamiętam, dwadzieścia pięć lat temu. Kiedy odlatywałem, klócili się na całego. To nic, że jedyne rozsądne głosy pochodziły od przeciwników. Tym bardziej można było się spodziewać, że projekt przejdzie. I gdzież tu niespodzianka?

– Nie chcesz nieśmiertelności – rzucił – czy po prostu się droczysz?

Jego głos podskoczył o pół tonu. Nie powiem, żeby mój dobry humor stał się przez to lepszy.

– Bądź spokojny – warknąłem. – Nie zrobię nic, żeby przerwać twoją wędrówkę przez wieczność. Nie wędrówkę. Trwanie. Jeśli nie rozumiesz różnicy, ja nie będę ci odbierał złudzeń...

– Dobrze – wpadł mi w słowa. – Więc jak długo masz zamiar żyć?

Teraz mnie dostał. Musiałem się uśmiechnąć.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Długo.

*

Sprawdziłem orbitę i utkwilem wzrok w ekranach. Ostatnia runda.

To był mój ład. Trzy lata czy pięć, co za różnica. Zdobyłem prawo tak o nim myśleć. Bez względu na to, co powie taki Putt, ślęczący teraz przy ekranie przekazującym sygnały namiarowe mojego statku. On także zyska to prawo. Ale musi poczekać.

Wyostrzyłem obraz. Przed moimi oczami przesuwają się zrudziałe w pasmach podczerwieni gładziny skały macierzystej, znaczone płytkimi studniami w miejscach trafień meteorytów i poszarpanymi krawędziami tektonicznych pęknięć. Z bezkresnej płaszczyzny, pokrytej jakby ubitym pyłem, nagle strzelały zębate skalne wieże i piramidy zastygłe w krystalicznych wypiętrzaniach. Ich obecność stanowiła za każdym razem zaskoczenie, przypominały fragmenty gotyckich katedr, rozrzucone na płycie lotniska. Linia horyzontu była niewidoczna, granice globu wytyczał pierścień utkwionych w głębokiej czerni gwiazd.

Ściany rakiety odezwały się wysokim, stłumionym echem. Z dołu, jakby spoza nich, dobiegł narastający świergot. Pulpit pod ekranem zamrugał światłami. Poczułem ciężar dłoni spoczywających na poręczach. Statek schodził z orbity. Pożegnalną rundę miałem za sobą.

Kilkanaście minut później, już poza płaszczyzną ekliptyki, sięgnąłem po paczkę koncentratów. Rozpiąłem pasy, rozsiadłem się wygodniej i podniosłem do ust pachnącą grzybami, twardo sprasowaną kostkę. Przełknąłem pierwszy kęs i nagle uderzyła mnie myśl, jak bardzo zwyczajny jest obraz wszystkich tych lodowych globów, kraterów opromienionych igłami rozprysków, bazaltowych katedr, przepaści o krawędziach ostrych jak wyszczerbiona stal. Najgłębsza czerń i ostateczna jasność jądrowych eksplozji. Taki jest nieśmiertelny świat. Prawdziwy. Wszystko inne to kaprys, efemeryda. Ziemia z jej ciepłem, atmosferą, zielenią, wodą i mieszkańcami. Z jej miękkością i usługowością procesów przystosowawczych.

Czy to, co człowiek zamierzył, można nazwać ekstrapolacją? Czy odnalazłoby się to na przedłużeniu przebytej przez niego drogi i znaczących ją zmian?

Na Ziemi, przed startem, nie tailem, co o tym sądzę. Pomimo że rzecz dotyczyła w najlepszym razie następnego pokolenia. Przez myśl mi nie przeszło, że w ciągu pięciu lat mojej nieobecności zdążą sprowadzić dyskusję do wspólnego mianownika.

Tymczasem dość było nie pięciu, tylko trzech lat, bym leciał z powrotem, poddać się zabiegowi, który miał mnie uczynić nieśmiertelnym. Może nie w pełni mnie, ale w końcu poza świadomością nie ma w nas nic, bez czego nie można się obyć. Nawet, jeśli ktoś bardzo chce wierzyć, że jest inaczej.

Uporałem się z koncentratem i przebiegłem wzrokiem ekrany. W porządku. Oczywiście, że w porządku. Jak zawsze. Dotknąłem kieszeni na piersi. Skafander napęczniał, rozrósł się, jego zewnętrzne warstwy przybrały kształt centralnej części kabiny. Zrosłem się ze statkiem, stałem się jego składnikiem. Odetchnąłem głęboko i zamknąłem oczy.

Poczułem kołysanie. Spadam. Jeśli tak, biorę udział w zawodach starych maszyn powietrznych i mam awarię. Powinienem skakać. Powstrzymało mnie uderzenie. To przecież sen. We śnie człowiek spada, ale jego ciało nigdy nie osiąga miejsca, w którym miało się roztrzaskać. Znowu kołysanie.

Oprzytomniałem. Błyskawicznie zlustrowałem ekrany. Nic. Śladu czerwieni. Jednak mój skafander wrócił do rozmiarów roboczych.

Na tablicy błysnęło żółte światelko. Jeszcze raz. I jeszcze.

Już wiem. Sięgnąłem do pulpitu i przesunąłem tłumik fonii. Cisza. Ktokolwiek mówił, uznał, że zrobił swoje.

Nie spiesząc się, sięgnąłem do zapisu. Brzęknął krótki, urwany sygnał, po czym w kabinie zabrzmiał głos mężczyzny. Nie wiem, czemu od pierwszej chwili pomyślałem, że mówi człowiek.

– Uważaj, Danbor – popłynęło z głośnika – przejmuję statek. Idziesz bezpośrednio na Bruno. Zostań na fonii.

To było wszystko. Oczekałem kilka sekund, po czym powiedziałem:

– Halo, Bruno! Czyj to pomysł? Stęskniliście się?

Jakiś czas panowała cisza. Wreszcie dał się słyszeć charakterystyczny stuk, towarzyszący przejściu na łączność, jak mówią piloci, „żywą”.

– Halo, Dan. Jest tutaj Cullen. Czeka na ciebie. Ma ci coś do powiedzenia.

Oczywiście, że człowiek. Dziwne. Łączność ze statkami naprowadzonymi z bazy powierza się zwykle automatom. Jeszcze dziwniejsze, że od razu go nie poznałem. Mitti, najmłodszy pilot w Zespole. Jeśli sam usiadł przy pulpicie, musi chodzić o coś więcej niż o koleżeńskie plotki. A w pierwszej chwili nie poznałem go dlatego, że jego głos brzmiał dzisiaj poważnie. Niemal ponuro.

– Dobra – rzuciłem. – Podać orbitę?

– Nie. Schodzisz głównym korytarzem – powtórzył.

Łączność czasowa to dobra rzecz. Można sobie pogadać. Nie jak pierwsi piloci, rzucający w przestrzeń skrótowe hasła kodu i tylko w określonych, z dokładnością do sekundy, porach doby. Komu przyszłoby dziś na myśl wymieniać nazwy statków, numery, symbole wywoławcze. Człowiek przedstawia się, zaczynając mówić. A przecież komputery, rozdzielające łączność na podstawie selekcji głosów, wprowadzono do Zespołu zaledwie trzydzieści lat temu.

Szedłem przez obszar asteroidów. Czuję wokół siebie obecność tysięcy tych okruchów skalnych, bryłek pyłu, miniaturowych globów. Mógłbym powiedzieć, że je widziałem. Jakbym w bezkresnej pustyni odnalazł nagle ruchliwe miasto. Byłem bezpieczny. Teraz już tak. No cóż, samodzielnych lotów miałem za sobą stosunkowo niewiele. Do Zespołu Stacji Granicznych Drugiego Pasa Planetarnego dostałem się właściwie przypadkiem, po stażu, który odbyłem nie gdzie indziej, jak właśnie na Bruno. Myśl o przystąpieniu do Zespołu podsunął mi pewien znany bionik, u którego zdawałem jeden z dwóch końcowych egzaminów. Ale nie bez wpływu pozostały także wyniki testów po kursie pilotażu. No i lekarze.

Odechciało mi się spać. Splotłem dłonie na karku i starałem się nie myśleć. Gra pastelowych świetlików i przekładanka linii na ekranach przestały mnie interesować.

– Mam złą wiadomość, Dan – powiedział Cullen, zanim zdążyłem zamknąć za sobą drzwi śluzy. Nie podszedł, żeby się przywitać. Stał w przejściu do dyspozytorni i patrzył mi prosto w oczy.

– Coś w Zespole? – spytałem.

– Fina... – zniżył głos.

Poczułem chłód.

– Fina miała wypadek – padło. Mówił teraz szybko, wybijając słowa, jakby odmierzał tempo marszu. – Trudno uwierzyć, że to się mogło zdarzyć... Nie zauważyła, że komputer sygnalizuje awarię automatycznego dozownika deuteru. Robili, co w ludzkiej mocy, ale sam rozumiesz, że... – zawiesił głos.

Moja głowa i kark stanowiły już litą bryłę lodu. Bezwiednie sięgnąłem ręką do szyi i odchrząknąłem.

Postąpił krok w moją stronę. Przez twarz przebiegł mu grymas. Nagle, bez żadnej myśli, wezbrała we mnie złość. Stoi i niecierpliwi się. Przygląda mi się jak choremu psu. Nie ma Finy...

Odczułem ciężar własnego ciała. Rozejrzałem się i ruszyłem w stronę fotela, ustawionego w rogu hallu, pod iluminatorem. Usiadłem.

Twarc Cullena przybrała wyraz zaciekawienia. Zrobił gest, jakby chciał podejść i poklepać mnie po ramieniu. Kiedy w końcu przemówił, jego głos brzmiał odrobinę mniej twardo.

– To teraz nie ma większego znaczenia – podkreślił słowo „teraz”. – Ale nie chciałem, żebyś dowiedział się tam, w przestrzeni. Pomyślałem, że powiem ci od razu...

Urwał. Widać dotarło do niego, że nie słucham. Mruknął coś, co miało wyrażać dezaprobatę. Przestało mnie to nagle obchodzić. Chciałem zostać sam.

Wstałem i skierowałem się w stronę korytarza. Mijając jajowate przejście usłyszałem, że idzie za mną.

W nawigatorni był Mitti i nie znany mi pilot w roboczym kombinezonie. Bez słowa zawróciłem do hallu.

Nie ma Finy. Twarz jak u dziewczynki z kolorowej okładki tomu bajek. Szeroko rozstawione piwne oczy, które w słońcu robiły się złote. Pełne policzki zbiegające ku wąskiej brodzie. Górna warga kapkę za głęboko wycięta, uśmiech dziecka słuchającego muzyki. „Dobrze, że nie będzie cię te pięć lat” – powiedziała, kiedy odlatywałem na Europę. „Przekonamy się, jak jest z nami naprawdę...”

Nie mogła mnie oszukać. Byliśmy razem od czterech lat. Nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek zostanę bez niej. Widziałem, że jest jej ciężko.

Minęło nie pięć, tylko trzy lata i jestem z powrotem. Niekoniecznie trzeba sobie coś wyobrażać, żeby to potem przeżyć.

Usłyszałem szmer. Odwróciłem się. Dość szybko, żeby pochwycić spojrzenie, jakie wymienili Cullen i Mitti.

Program wizyty został wyczerpany. Powinienem to zrozumieć. Każdy ma swoje sprawy. Ich – to sieć stacji badawczych, programy eksploracyjne i kłopoty z takimi jak ja. Moje – to teraz Ziemia. Wizyta w gabinecie specjalistycznym, rodzina, dom.

Poczułem nowy atak chłodu.

– Wracam do służby – rzuciłem, prostując się odruchowo. – Nie wiem dokładnie, po co mnie ściągacie, ale możecie to zrobić tutaj.

Dobiegający z nawigatorni przerywany akord sygnałów nagle ustał. Z każdą sekundą cisza stawała się bardziej obecna. Światła przygasły. Tutejszy dzień dobiegł końca.

Wreszcie Cullen westchnął. Powoli uniósł głowę i powiódł dłonią po włosach. Jego wzrok spotkał się z moim.

Przyleciał specjalnie, żeby mi powiedzieć. Ładnie. Zbyt ładnie, jak na to, w czym pracujemy. Od kilku lat siedzi na Ziemi, w sztabie Zespołu. Ale był szefem stacji, kiedy odbywałem tu staż. Znał mnie trochę. Powinien zrozumieć.

– No?! – burknąłem.

Cullen drgnął.

– Nie – rzucił.

Czekałem.

– Nie – powtórzył. – Ściągamy wszystkich. Ale nawet gdyby to było możliwe, nie pozwoliłbym...

– Nie polecę na Ziemię – przerwałem.

– Polecisz – powiedział spokojnie.

Oczywiście, że polecę. Co mogłem zrobić.

W przejściu stanął Mitti.

– Poczekaj, Dan – przemówił tonem, jak by nagle zabolał go ząb. – Cullen, powiedz mu...

Mój były szef wzruszył ramionami.

– Chciałem – wycedził. – Zresztą... – spojrzał na mnie jakby w przyływie zainteresowania – mogę...

Wzdrygnąłem się.

– Nie – syknąłem. – Powiedzmy, że muszę wracać. Zgoda. Ale przynajmniej nie mówcie. Tyle możecie dla mnie zrobić...

Stuk zamykanej klapy wjazdu przyniósł mi ulgę. Chętnie wypchnąłbym ten ciężki płat stali i zatrzasnął raz jeszcze. Położyłem się w fotelu i przymknąłem oczy. Kiedy wreszcie spojrzałem na ekrany, od stacji dzieliło mnie sześć tysięcy kilometrów. Cullen wystartował trzy minuty przede mną. Pod ekranem łączności co kilka sekund błyskało żółte światło wezwania. Do samej orbitalnej, która przejęła mój statek, nie spojrzałem na przełącznik fonii.

Stacja pękała w szwach. Jak pszczoły matkę obsiadły ją setki większych i małych rakiet. W każdej z nich tkwili ludzie pościągani z całego układu, aby uczestniczyć w ostatnim akcie „operacji wieczność”.

„Człowiek przekracza barierę czasu” – głosiły nagłówki, kiedy odlatywałem. Nie miałem powodów, by w to wątpić. Co innego, czy zdoła stamtąd wrócić.

Czekałem dobre dwadzieścia minut, zanim mnie wywołano. Znalazłem się we wnętrzu jednej z komór ładunkowych, przystosowanych naprędce do przyjmowania ludzi. Stąd, nieczynnym eskalatorem, mogłem przejść bezpośrednio do promu. W połowie korytarza otoczyli mnie ludzie. Po kilku dalszych krokach ich obecność zmieniła się w ścisk.

Prom spadł na jedno z małych, pływających lotnisk w rejonie Azorów. Morze zasnęła świetlista mgła. Słońce załamywało się w rozbryzgach miliardowego wybuchu pęcherzyków powietrza, uciekającego z podwodnej sieci pneumatycznych falochronów. Upał. Lekki wiatr zacinął chwilami rosą jak w pobliżu fontanny. Żółtoszare chmury, rozwleczone po całym niebie, sprawiały wrażenie wyprasowanych. Z pierwszego spotkanego stoiska wziąłem garść wielkich, prawie czarnych czereśni i nie opuszczając płyty lotniska poszedłem nad samą wodę. Strzelałem w nią pestkami i patrzyłem, jak giną w ruchliwej mgiełce. Stałem tak aż do chwili, kiedy zapowiedziano start mojego statku.

Pół godziny później wchodziłem do znanej mi od dzieciństwa hali uznamskiego dworca lotniczego. Tu dzień dopiero się zaczął. Niebo szarzało. Chmury wisiały nisko i miasto lśniło od wody. Moje miasto. Bardziej moje niż ląd, który opuściłem. Ale dziś czułem się tu nie mniej obco niż tam, pierwszej godziny po lądowaniu.

W macie czekały na mnie dwie informacje. Ojciec prosił, żebym skontaktowałem się z nim natychmiast po powrocie, a dyżurny Zespołu wzywał mnie do Instytutu Zdrowia przy Centrali na dziewiątą piętnaście.

Nie mogłem myśleć o domu. Nie teraz. Przebrałem się i wyszedłem na ulicę. Nie miałem żadnego planu. Nie myślałem, co zrobię z tymi trzema godzinami, jakie dzieliły mnie od wizyty w Instytucie. Szedłem przed siebie, omijając główne chodniki i estakady, piąłem

się zaułkami wciętymi w zielone zbocza, schodziłem po kamiennych płytach, jakimi wyłożono kręte przejścia pomiędzy dachami. Do momentu, kiedy wokół mnie otworzyła się szeroka, pusta przestrzeń z majaczącymi w perspektywie budowlami portu, nie zdawałem sobie sprawy, że idę naszą zwykłą trasą, kiedy któreś z nas uznało, że są sprawy do obgadania.

Usłyszałem szum morza. Plaża. Jedyne miejsce, do którego docierają pulsujące jak przed wiekami fale. Na wprost wąska z tej odległości linia wysokiej skarpy. Tam chodziliśmy rzadko. O każdej porze dnia i nocy pełno tam było ludzi.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i nie patrząc za siebie, zacząłem iść w stronę brzegu. Kilka minut później dotarłem do wysokiego ogrodzenia, za którym widniała szeroka, płytka rynna. Morze było bardzo blisko. Skręciłem i siedłem chwilę wzdłuż ochronnej siatki, nad którą w szybkim rytmie migały ostrzegawcze lampki. Tam, dalej, świeciło słońce. Kilka, może kilkanaście kilometrów od brzegu chmury rozstępowały się, zapalały żółtym światłem i wsiąkały w błękit. Tylko nad łądem było szaro.

Stałem tak, że czubki moich butów znalazły się w wodzie. Morze przede mną zaszumiło nagle, jego powierzchnia zakipiiała. Dał się słyszeć narastający, niski grzmot, przechodzący w matowy świst. W wylocie tunelu, mniej więcej dwieście metrów od brzegu, coś błysnęło. Strzelił podłużny, przypłaszczony kształt, przeleciał koło mnie, zanim zdążyłem odwrócić głowę, i runął na wodę, pozostawiając zjadliwe wrzenie fal, tłumionych natychmiast przez pracujące z maksymalną mocą falochrony. W ostatniej chwili za szklanymi ścianami rurowej konstrukcji mignął mi rząd kolorowych fiatów. Nie musiałem patrzeć na zegarek. Praga – Rejkiawik, przez Kopenhagę i Oslo. Jeden z tych moriaków, którymi jeździ się chętnie nawet bez konkretnej potrzeby, które woli się od rakiet i wszelkich możliwych pojazdów powietrznych. Pomyślałem przez moment o łakach w rezerwatach Islandii. Byliśmy tam...

Utkwiłem wzrok w linii horyzontu. Po moriaku nie pozostało śladu. Powierzchnia wody drżała, miniaturowe eksplozje pęcherzyków powietrza wyrównały szeregi biegnące od brzegu równymi, zbiegającymi się w dali liniami. Lubiłem ten widok. To znaczy lubiliśmy...

Cofnąłem się gwałtownie. Zawróciłem i sztywno wyprostowany ruszyłem w stronę miasta. Zaboląła mnie twarz. Sięgnąłem do niej palcami i zdałem sobie sprawę, że z całej siły zaciskam szczęki.

– Rodzice żyją?

W gabinecie panował mrok. Głos technika, zadającego pytania, grzął w płątaniu przewodów, kabli, torów świetlnych łączących niezliczone przystawki aparatury informatycznej. Leżałem na wysokiej, twardej ławie, z głową tkwiącą w ażurowej półkuli otoczonej jakby kłębem metalicznej waty. Każde moje słowo było skrupulatnie rejestrowane. W pewnym momencie wyobraziłem sobie, jak jedno po drugim wpada do bębna przystawki zapisującej. Zaczynałem mieć dość.

– Żyją – mruknąłem. – Od urodzenia.

– Rodzeństwo?

Ten mógł o sobie powiedzieć, że trudno go zbyć byle czym. Minęło półtorej godziny, od kiedy załatwił stereotyp. Układ krążenia, nerwy, reakcje. Nie miałem się czego wstydić. Wyniki odbiegały nieznacznie od schematu, który powstał w wyniku badania ludzi przebywających poza Ziemią pełne pięć lat, okres przyjęty we wszystkich służbach, ale odchylenia mieściły się w granicach normy. Potem przeszedłem do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie pobrano mi krew i gdzie przesiedziałem dziesięć minut w ekranizowanym pudle wielkości pralki, którego ściany połyskiwały nieprzyjemnym światłem, a chwilami stawały się niemal przezroczyste. To było coś nowego. Ale na dobre zabawa zaczęła się dopiero tutaj, kiedy ulokował mnie na twardej leżance, nałożył na głowę coś, co

widziałem pierwszy raz w życiu, i przystąpił do pogawędki z wszystkimi atrybutami filmowego śledztwa. Po rodzinie, przebytych chorobach, ludziach, z którymi przestawiałem, przysła kolej na ideologię. Pytał, co sądzę o tym i owym okresie w dziejach Ziemi, tradycjach, wychowaniu, o stymulacji psychicznej i setkach takich rzeczy, których znaczenie odkrywa się zazwyczaj poniewczasie. Sprawdził od niechcienia moją pamięć, żonglując faktami historycznymi, a także wiedzę o kształtowaniu się prognoz naukowych w przeszłości i współcześnie. Przed kolejnym pytaniem uderzał w klawisz przystawki zapisującej, a po mojej odpowiedzi wyćwiczonym, bezwiednym ruchem kasował zapis, przekazując jego treść zespołom sumatora. Każde słowo czytał z leżącego przed nim pliku folii. Inaczej dawno posłałbym go do diabła razem z jego Krzywą Eiredowna, korekturą systemów samoregulujących się i Hiroszimą. Tak jak się sprawy miały, nie mogłem nawet mruknąć. Było aż nadto widoczne, że robi tylko swoje. Pomyślałem, ilu takich jak ja przeszło przez ten gabinet w ostatnich tygodniach czy miesiącach... Kiedy właściwie zaczęli? Mniejsza z tym, Nie moje zmartwienie.

W pewnym momencie ucichł i uniósł głowę. Usłyszałem szmer otwieranych drzwi.

– Kończycie? – zabrzmiał za mną męski głos, który wydał mi się znajomy.

– Na mnie nie liczcie – powiedziałem. – Od lat z nikim tak mi się dobrze nie gawędziło...

Usłyszałem przyciszony śmiech. Poznałbym go na słońcach Centaura. Szef grupy ekspertów przy Zespole, Norin. Człowiek, który wszystko potrafi zrozumieć i wszystko wykpić.

– Wpadnij do mnie, jak skończycie – powiedział.

Mruknąłem coś, co mogło wyrażać zgodę.

– Albo nie – przypomniał sobie. – Mam jeszcze coś do załatwienia. Najlepiej przyjdź po południu. O piątej?

– Dobrze.

– Czekam. Mam coś dla ciebie.

To ostatnie brzmiało poważnie. Zbyt poważnie, bym mógł odpowiedzieć.

Stuk zamykanych drzwi zagłuszyło trzaskanie aparatury. Technik utkwiał wzrok w folii. Z jego niemal nieruchomych warg wypłynęło kolejne zdanie. Jeszcze tydzień – przebiegło mi przez myśl – a nauczy się tego na pamięć.

Minęła dwunasta. Leżanka pode mną nasiąkała potem. Krótkie chwile milczenia wypełniał mi szum krwi w skroniach.

Głos ucichł nagle. Sekundę, może dwie nie działo się nic.

– Opowiedz o swojej dziewczynie...

Zerwałem się. Uderzyłem czołem w obrzeże wiążącej mi czaszkę aparatury i upadłem na wznak. Zamknąłem oczy.

– Na dziś dosyć – powiedziałem spokojnie. – Jeśli mi nie zdejmiesz tego kaptura, pójdę spać. Możesz tu zostać albo wyjść, to nie ma dla mnie znaczenia. Tak czy inaczej nie usłyszysz ode mnie słowa...

2

Dom był cichy jak wnętrze grotty. Wszedłem przez zawsze otwarty taras i zatrzymałem się pośrodku hallu. Powiodłem wzrokiem po fotelach, kwiatach, rozrzuconych skrawkach folii. Nic się nie zmieniło. Ściany pokrywała ta sama ozdobna aparatura, którą bawiłem się jako pięcioletnie dziecko. W pewnej chwili mój wzrok spoczął na ulubionym fotelu ojca, stojącym bokiem do kominka. Stwierdziłem, że jego poduszka jest lekko wgnieciona, jakby

ktoś siedział tam jeszcze kilka sekund temu i nagle uprzytomniłem sobie, że wróciłem do domu. Ale nie było to uczucie z tych, które przynoszą spokój.

Wszedłem po krętych schodkach, prowadzących do antresoli. Poprzedzał ją niewielki przedsionek z rozsuwanymi szklanymi ścianami, za którymi widniała żółtoszara o tej porze roku trawa. Zbocze spadało ostro w dół, przechodząc w porośniętą krzewami kotlinkę, opływającą parter.

Lubiłem tu przychodzić. Pozostali domownicy czynili to rzadko. Matka nigdy. Ojciec był konstruktorem światłowodów, nikt nie mógł przewidzieć, co i jakim głosem odezwie się raptem w jego pokoju.

Poczułem się zmęczony. Przywarłem plecami do framugi i przymknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, przede mną stał ojciec. Nie słyszałem jego kroków, odgłosu otwieranych drzwi, najmniejszego szmeru.

– Cześć, tato – powiedziałem, nie ruszając się z miejsca.

Uśmiechnął się. Westchnął, przetarł palcami skronie, po czym szybko, jakby coś sobie przypomniał, podszedł do mnie i położył mi dłonie na ramionach. Uściskaliśmy się.

– Jesteś zmęczony – mruknął po chwili.

Przyjrzałem mu się. Miał ściągniętą twarz z szerokim cieniem pod oczyma. Znowu przesłęczał noc przy swoich datorach. Bo poza tym trzymał się dobrze. Wyglądał bodaj młodziej niż w dniu, kiedy żegnał mnie na lotnisku.

– Jest coś nowego? – spytałem, wskazując otwarte drzwi do pracowni.

Machnął ręką i uśmiechnął się. Nie potrzebowałem więcej. Niedawno zdobył nagrodę Rady Naukowej Rządu. I wszystko wskazywało, że na tym nie poprzestanie. Także teraz jego uśmiech był dostatecznie wymowny.

– Przyczynki... – mruknął lekceważąco.

Wrócił do drzwi, zamknął je starannie, po czym utkwiał dłonie w kieszeniach fartucha i nie patrząc pod nogi zbiegł po schodach do hallu. Poszedłem za nim. Usiadłem w fotelu i położyłem głowę na oparciu. Poczułem, że kleją mi się oczy.

– Powiedz coś – poprosiłem. – Inaczej zasnę.

Pominał to milczeniem. Chwilę stał przede mną, przyglądając mi się, następnie mruknął coś niezrozumiale i założywszy ręce na plecy, zaczął chodzić po pokoju.

– Ściągnęli cię – spytał wreszcie – w związku z Finą?

Nie poruszyłem się. Nie zrobiłem nic.

– Wróciłeś na stałe? Czy...

– Nie – uciąłem. – Nie w związku z Finą.

Zapanowała cisza. Po dobrej chwili usłyszałem westchnienie. Z głębi domu dobiegł jakiś ruch. Ojciec poruszył się niecierpliwie.

– Dan – zaczął z naciskiem – musisz zrozumieć, że...

Nie rozumiałbym. Nie teraz. Ta próba została mi jednak oszczędzona. Pchnięte gwałtownie drzwi otworzyły się z łoskotem i do hallu wpadła pokrzykując piskliwym głosem Sosna, moja najmłodsza siostra. Za nią ukazała się uśmiechnięta twarz matki.

– Mogli to zrobić na Bruno – powtórzyłem z uporem.

Norin zachnął się. Przemierzył dwukrotnie gabinet od okna do lejkowatej niszy z pulpitem rozdzielczym, po czym zatrzymał się na wprost mnie. Zacerpnął powietrza, jakby sięgając do najgłębszych pokładów cierpliwości.

– Nie mogli – wycedził. – To zresztą bez znaczenia, mogli czy nie. I czy zechcesz w to uwierzyć. Sprowadzamy załogi z obiektów pozaziemskich, bo musimy. Nie sądzisz chyba, że kogoś z nas to bawi. I na tym można by poprzestać, gdybyś zajmował się, powiedzmy, hodowlą drobiu. W naszej służbie albo idziesz w czołowej grupie, ale razem z ludźmi, albo...

– Nie jesteś nam potrzebny – podrzuciłem.

– To właśnie chciałem powiedzieć – zakończył niezmiennym tonem bez chwili namysłu.

Wstałem. Okrążyłem fotel i przejechałem palcami po jego oparciu. Było przezroczyście, szorstkie i elastyczne zarazem. Nie znosiłem takich mebli. W dzieciństwie dostawałem od nich wysypki.

– Rozumiem teraz – mruknąłem – dlaczego kazał mi pan przyjść po obiedzie. Kazanie na pusty żołądek mogło mi zaszkodzić – mimo woli podniosłem głos. To przynajmniej stało się dla mnie jasne. Oczywiście, Cullen. Poskarżył się. Przyjechał z tym prosto z lotniska. Inaczej Norin nie zdążyłby „przypadkiem” trafić do gabinetu informatycznego, gdzie zabawiałem rozmową nieszczonego technika.

Dłuższą chwilę panowało milczenie. Oderwałem się od fotela i podszedłem do okna. Pracownie grupy ekspertów zajmowały najwyższe piętro głównego pawilonu. Szefowi grupy, Norinowi, przypadł narożny gabinet, jedyny pokój zasługujący na tę nazwę w długim ciągu laboratoriów, uzbrojonych w aparaturę sprzężoną z węzłami światowej sieci informacyjnej. Ogołoczone z liści drzewa nie przesłaniały widoku dziesiątków płaskich budowli, wzniesionych na planie figur geometrycznych. Cały ogromny teren Centrali wyglądał jak wymarły. Tak było zawsze. Z szesnastu tysięcy ludzi zaledwie czterdziestu stale pełniło służbę tutaj, na miejscu. Pozostali, podobnie jak załogi fabryk, przetwórní, urzędów, szkół i zakładów naukowych pracowali u siebie w domu, w podróży, na wyspach czy w górach, gdzie komu było wygodniej i gdzie ze względu na specyfikę własnego organizmu człowiek mógł uaktywnić maksimum możliwości twórczych. Nie darmo ubiegły wiek zyskał w historii miano epoki łączności czasowej.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI